



BERNARD FILIPIUK

Garwolin, 20 marca 1946 r. Sąd Grodzki w Garwolinie w osobie sędziego Jana Boguckiego przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i treści art. 107 kpk.

Świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Bernard Filipiuk
Wiek	46 lat
Imiona rodziców	Julian i Marianna
Miejsce zamieszkania	Miastków Kościelny, pow. Garwolin
Zajęcie	ksiądz proboszcz
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

Wyjechałem z Miastkowa do Warszawy 17 lipca 1944 roku jako ciężko chory do Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej. 26 lipca poddałem się operacji brzusznej. W chwili wybuchu powstania leżałem jako rekonwalescent po operacji.

Już 2 i 3 sierpnia bardzo wielu ludzi z okolicznych domów przy ulicach Płockiej, Górczewskiej, Działdowskiej, Wolskiej i innych przedostało się do Szpitala Wolskiego, sądząc, że tu będzie bezpiecznej. Widzieli oni bowiem, że Niemcy po zdobyciu domu czy bloku wywlekali z piwnic ludzi i rozstrzeliwali kobiety, mężczyzn i dzieci – wszystkich bez wyjątku.

Taką jedną egzekucję sam widziałem z okna szpitala 4 sierpnia, kiedy to Niemcy, zdobywszy budynek naprzeciwko posesji szpitala położony, wszystkich jego mieszkańców na chodniku

przed domem rozstrzelali, w liczbie 60 do 100 osób. Widziałem również z okna szpitala, jak kobietę z dzieckiem, która widocznie ze strachu wybiegła z bramy płonącego domu na ulicę Płocką (w sąsiedztwie szpitala), Niemcy złapali i wraz z dzieckiem wrzucili przez okno do płonącego domu.

Zaznaczam, że Niemcy w całej dzielnicy wolskiej od pierwszego dnia powstania wszystkich bez wyjątku Polaków mordowali, a domy palili. W chwili ostatecznego zdobycia Szpitala Wolskiego, 4 sierpnia w południe, wszystkie okoliczne domy położone przy ulicach Płockiej, Działdowskiej, Wolskiej, Górczewskiej były już spalone, a mieszkańcy wymordowani.

Po wkroczeniu do szpitala Niemcy oświadczyli, że ze względów wojskowych szpital muszą spalić, chorzy zaś winni natychmiast go opuścić. Na energiczny protest dyrektora szpitala, dr. Piaseckiego, oświadczyli, iż wobec tego porozumieją się ze swoim dowódcą, co mają uczynić ze szpitalem i jego mieszkańcami. Odwiedzili na salach rannych Niemców i Ukraińców wziętych do niewoli przez powstańców i po rozmowie z nimi wyrazili podziękowanie lekarzom i siostram za dobrą opiekę.

O proteście dyrektora szpitala i podziękowaniu za opiekę opowiedzieli mi lekarze szpitalni i siostry szarytki, zaznaczając że chyba dla tych względów Niemcy pozostawią szpital w spokoju.

Następnie 5 sierpnia Niemcy wkroczyli do Szpitala Wolskiego w większej już liczbie; wypełnili hall i korytarze. Wśród nich byli Ukraińcy i Gruzini z napisami na opaskach „Georgien”. Było to wojsko frontowe SS, nie wyłączając członków legionów wschodnich na służbie niemieckiej. O godzinie mniej więcej pierwszej w południe oficer niemiecki z dwoma SS-manami wkroczył do gabinetu dyrektora szpitala dr. Piaseckiego, przy którym byli prof. Dr. Zejland i kapelan szpitala. Po zapytaniu, kto jest naczelnym lekarzem, a kto są ci dwaj inni, oficer ten osobiście ich trzech zastrzelił. Zaraz po tym mówił mi o tym jeden lekarz i siostra.

Niemcy rozeszli się po całym szpitalu i pod groźbą karabinów zaczęli z łóżek wyrzucać chorych. Kobiety i mężczyźni – wszystkich bez wyjątku. Do mego pokoju także wpadł Niemiec, krzyczał raus! i pobiegł do następnych pokoi. Byłem jeszcze dość chory (poprzedniego dnia wieczorem zdjęto mi klamerki), więc nie ruszałem się i dalej leżałem w łóżku. Gdy ten Niemiec powracał i powracał, a zobaczył, że ja jeszcze leżę, wpadł rozwścieczony do pokoju i wymierzył do mnie rozpylacz. Wówczas podniosłem się na łóżku,

a on uderzył mnie okładem i zepchnął z łóżka, a potem wypchnął na korytarz. Byłem tylko w piżamie i boso.

Przed szpitalem stała już długa kolumna ustawionych czwórkami ludzi: chorzy w koszulach i szlafrokach szpitalnych, lekarze, siostry, sanitariusze i sanitariuszki oraz ci, którzy schronili się w szpitalu w pierwszych dniach powstania. W tym momencie niemieckie karabiny maszynowe na rogu Płockiej i Górczewskiej strzelały w kierunku ul. Działdowskiej i Leszna. Po wyprowadzeniu wszystkich ze szpitala poprowadzono nas pod ścisłym konwojem ul. Płocką, a dalej Górczewską w kierunku wiaduktu kolei towarowej.

Gdyśmy szli ulicą Górczewską, widziałem, że przy każdym domu leżały trupy, przy niektórych domach częściowo popalone: dzieci, kobiety, mężczyźni, starcy. Domy zaś wszystkie już były spalone. Bezpośrednio za wiaduktem kolejowym widziałem na nasypie dużo zamordowanych Polaków, Polek – nawet dzieci – a wśród nich leżały walizki, teczki i inne tobołki. Po drugiej stronie na wale stał karabin maszynowy, którym widocznie rozstrzeliwano ludzi.

Skierowano nas na lewo, zdaje się na ulicę Magistracką i poprowadzono obok toru kolejowego na podwórko jakiejś fabryki. Wtłoczono nas do dwóch olbrzymich hal i kazano usiąść na ziemi. Po jakimś czasie przypędzono sporą partię ludzi, podobno mieszkańców ul. Działdowskiej z domów Wawelberga i z innych ulic. Wkrótce potem przywieziono kilkoma samochodami mężczyzn i kobiety. W fabryce tej taki był tłok, że nie było ani jednego wolnego miejsca, gdzie mógł ktoś usiąść.

Między godziną drugą a trzecią po południu weszli do fabryki gestapowcy i od razu zaczęli wybierać zdrowych mężczyzn. Wyprowadzono ich przed fabrykę; ustawiono czwórkami i gdzieś poprowadzono pod silnym konwojem. Gestapowcy zapowiedzieli, że ich biorą do rozbierania barykad. To wyciąganie ludzi zdrowych trwało gdzieś do godziny czwartej po południu.

Około godziny 4.30–5.00 po południu gestapowcy zabrali pierwszą partię chorych z fabryki. Za chwilę – następną, w której i ja byłem. Na dziedzińcu fabrycznym ustawiono nas czwórkami po 12 osób. Takich dwunastek naliczyłem sześć w tej partii ludzi, w której ja byłem. Gestapowcy zażądali od nas, byśmy im oddali zegarki, pierścionki, wieczne pióra i inne drogocenne rzeczy. Te przedmioty kładli na jakiejś pace wywróconej do góry dnem. Widziałem tam bardzo dużo zegarków i innych drobiazgów. Ja swój zegarek i wieczne pióro

włożyłem do dolnej kieszeni w sutannie i nie oddałem, myśląc, że po tym zegarku rodzina kiedyś może rozpozna moje zwłoki.

Byliśmy już pewni, że idziemy na śmierć, tak samo jak i poprzednia partia ludzi wyciągniętych z fabryki. Wówczas byłem już w sutannie i pantoflach, które szarytka zabrała z mego pokoju w szpitalu, gdy już mnie tam nie było, i w tej fabryce doręczyła mi. Poprowadzono nas tą samą drogą, którą szliśmy przedtem do fabryki: obok toru kolejowego w stronę wiaduktu. Cała ta trasa z jednej i drugiej strony była obstawiona żołnierzami, stojącymi w odstępach mniej więcej dziesięciu metrów, z karabinami skierowanymi w naszą stronę, to jest do środka jezdni. Ponadto każda dwunastka ludzi była obstawiona gestapowcami z rewolwerami w ręku.

Przeprowadzono nas w poprzek ul. Górczewskiej na drugą stronę, tuż obok toru kolejowego – zdaje się, że to był numer posesji 35, to mi mówiono w rok po tym w szpitalu. Jest to miejsce po prawej stronie ul. Górczewskiej zaraz obok toru kolejowego, ale za nim, idąc od ulicy Płockiej. Dzisiaj stoi tam już krzyż pamiątkowy.

Miejsce egzekucji to było duże podwórko; po prawej stronie był tor kolejowy, naprzeciwko płonąca kamienica piętrowa i tak samo płonęła kamienica po lewej stronie. Gdy nas przyprowadzono na podwórko, stało jeszcze kilka dwunastek ludzi przede mną z fabryki wziętych – chorych i zdrowych – oczekujących na swoją śmierć. Wówczas ukradkiem wyciągnąłem zegarek z głębokiej kieszeni sutanny i zobaczyłem, że była godzina piąta i pół. Po dwunastu ludzi bez przerwy podprowadzane i rozstrzeliwane.

Rozkaz strzelania wydawał gestapowiec. Trzech żołnierzy stało na początku podwórka po lewej stronie z bronią maszynową – rozpylaczem – i oni rozstrzeliwali salwą na rozkaz. Przechodziłem obok nich i dokładnie widziałem, iż wszyscy trzej byli w mundurach niemieckich. Jeden z nich wyglądał z twarzy na Mongoła.

Nie wiem, czy byli to Niemcy, czy innej narodowości.

Stałem na tym podwórku może 15–20 minut i widziałem dokładnie, jak przede mną rozstrzeliwano każdą dwunastkę ludzi, strzelając w plecy. Widziałem też, że po salwie gestapowiec dobijał jeszcze rannych z rewolweru, celując w głowę. Trupami było już założone jakieś trzy czwarte tego podwórka, niektóre z nich, leżące bliżej płonących domów, paliły się.

W tym oczekiwaniu na swoją śmierć ksiądz Zychon, misjonarz z Krakowa, który jako chory był w Szpitalu Wolskim, udzielił wszystkim generalnego rozgrzeszenia, a ja jemu, po czym na wezwanie jednego chorego odmówiliśmy głośno po raz ostatni Ojciec nasz. Przy ostatnich słowach modlitwy gestapowiec krzyknął: naprzód! Jedna chwilka, a usłyszałem po niemiecku: ognia! Padła salwa, a ja przewróciłem się razem z księdzem Zychonem, który mnie słabego po operacji trzymał cały czas pod rękę. On mnie też za sobą pociągnął. Od razu zorientowałem się, że żyję i nie jestem ranny, ale zacząłem udawać trupa, wiedząc, że gestapowiec dobija żyjących. Gdy do mnie podszedł, kopnął mnie w kolana, zaklął i strzelił z rewolweru w głowę. Kula przeszła koło ucha. Byłem więc uratowany.

Potem rozstrzeliwano następne dwunastki ludzi. Z jednej dwunastki kobieta padła czubkiem głowy na moje stopy. Po rozstrzelaniu jeszcze kilku grup ona zaczęła głośno wołać, że żyje i nie jest ranna. Wówczas podbiegł jeden z żołnierzy i całą serią strzelił do niej z rozpylacza.

Widziałem to, gdyż leżałem tak, iż niepostrzeżenie zerkając w kierunku swoich nóg, obserwowałem cały czas okrutnych oprawców. Przez cały czas lękałem się, że może mnie trafić jakaś zabłąkana kula, gdyż oni strzelali w kierunku leżących trupów.

Tak leżałem w ciągłej obawie śmierci do godziny 11.30 wieczorem 5 sierpnia. O tej godzinie przestali już rozstrzeliwać, a ci trzej oprawcy, zapaliwszy papierosy, odeszli na ulicę Górczewską i stanęli na nasypie przed wjazdem pod tunel. Wówczas zacząłem się wyczołgiwać po trupach do kamienicy, przed którą nas rozstrzeliwano. Innej drogi nie miałem. Spostrzegłem, że jeszcze ktoś się czołga. Potem powiedział mi, że jego ojciec został rozstrzelany, a on żyje. Nazywa się Mieczysław Krzysztoferski (obecnie zamieszkały w Warszawie, na Pradze, ul. Lubelska 23 m. 6). Pisał mi on, że uratowało się z tej egzekucji sześć osób. Ja spotkałem tylko jednego mężczyznę w domu, do którego się wczołgałem. Był to fryzjer z ulicy Działdowskiej, tak mi sam powiedział. Miał roztrzaskaną rękę. Kule dosięgły go na korytarzu płonącego domu, przed którym rozstrzeliwano. On jeszcze przed salwą wkroczył do domu. Było to około godziny 3.00, może 3.30, jak mi sam mówił.

Gdzie on obecnie mieszka i jak się nazywa nie wiem.

Student Napiórkowski, który pracował w Szpitalu Wolskim, również uratował się w ten sposób, że gdy go przeprowadzono na to podwórko, skoczył w bok i uciekł. Pochodzi z Grójca, gdzie ma matkę. Szpital Wolski zapewne zna jego adres.

Podobno był rozstrzelany jeden z woźnych Szpitala Wolskiego, ale na innym placu, też żyje. W sierpniu 1945 pracował w Szpitalu Wolskim, gdzie obecnie jest, nie wiem.

Sądzę, że dokładnych danych osób uratowanych podczas tej masakry chorych Szpitala Wolskiego może udzielić zarząd szpitala.

Muszę podkreślić, że nie tylko sami mężczyźni zostali rozstrzelani przy ul. Górczewskiej ze mną. Były i kobiety, choć zasadniczo gestapowcy wybierali z fabryki samych mężczyzn. Myślę, że były to żony, matki lub córki, które przyłączyły się do swych najdroższych, najbliższych prowadzonych na śmierć. Chciały widocznie zginąć razem ze swoimi kochanymi. W mojej dwunastce była kobieta. Na rękę trzymała małe dziecko, które mogło mieć rok. Z tym dzieckiem została rozstrzelana. Prosiła gestapowca, aby najpierw zabił dziecko, a potem ją. Uśmiechnął się tylko i nic nie odrzekł. Dziecko to długi czas po rozstrzelaniu płakało, słyszałem to, a jego kwilenie krew mi żyłach mroziło. Niewątpliwie słyszeli to i oprawcy hitlerowscy.

Co do nazwisk rozstrzelanych, prócz księdza Żychonia, nie znam żadnych. Byłem dość krótko w szpitalu, leżałem w łóżku i chorych nie znałem. Wiem, że rozstrzelano lekarzy Szpitala Wolskiego, bo ich widziałem, jak rozstrzeliwani byli. Znałem ich tylko z widzenia w szpitalu. Nasi chirurdzy przed rozstrzelaniem zabrani zostali do szpitala niemieckiego. Żyją wszyscy.

Nie mogę również dokładniej podać liczby rozstrzelanych na tym podwórku przy ulicy Górczewskiej. Według moich obliczeń, a całe podwórko widziałem trupami założone z domu, do którego się wczołgałem, rozstrzelano około dwa tysiące osób. Ta cyfra zdaje mi się więcej niż prawdopodobna, zważywszy na czas trwania egzekucji, podczas której bez przerwy podprowadzano ludzi i rozstrzeliwano, a także, mając na uwadze olbrzymi tłum ludzi stłoczonych w fabryce.

Nazwisk oprawców nie znam. Byli wśród nich gestapowcy i żołnierze, zdaje się, piechoty. Wszyscy oni byli bardzo zdenerwowani, rozwścieczeni. Okrucieństwo i żądza jakiejś zemsty zionęła wprost od nich. Byli pełni sadyzmu. Widziałem, jak gestapowiec pogłaskał po twarzy ręką jednego mężczyznę, stojącego w szeregach dwunastki, uśmiechnął się, coś powiedział do niego, przyłożył rewolwer pod brodę i zastrzelił, śmiejąc się. Tak mógł zabijać ludzi tylko bandyta hitlerowski, wyzuty z sumienia, z wszelkich zasad moralnych i człowieczeństwa.



Jak już zaznaczyłem wyżej, zwłoki już podczas egzekucji same paliły się od spadających z płonących domów belek czy desek. Nie widziałem, żeby Niemcy tych rozstrzeliwanych palili, ale opowiadał mi jakiś mężczyzna w kilka dni po egzekucji, gdy byłem już poza Warszawą, że 6 sierpnia zabrali go wraz z innymi, przywieźli do Warszawy i właśnie na tym placu przy Górczewskiej kazali im lać benzynę i palić trupy.

Jak się ten mężczyzna nazywał, nie wiem, jak również nie wiem, skąd jest. O fakcie spalania trupów na miejscu egzekucji świadczy fakt, że na miejscu tej zbrodni znaleziono tylko popioły i szyny szpitalne, które były użyte dla chorych.

Muszę dodać, że żaden z rozstrzeliwanych Polaków o nic nie prosił – prócz tej kobiety z dzieckiem – gestapowców, nie żebrał litości i darowania życia. Z całym spokojem i pogardą dla śmierci i oprawców, zdeterminowani, pełni świadomego bohaterstwa i doniosłości ich ofiary krwawej, szli odważnie na śmierć z myślą, a nawet z okrzykiem – jak moja dwunastka – iż za Polskę swe życie oddają. To doprowadziło gestapowców do szaleństwa.

Według mego najgłębszego przeświadczenia za zbrodnię niemiecką na chorych ze Szpitala Wolskiego odpowiadają nie tylko dowódcy, którzy takie rozkazy wydali, ale też każdy poszczególny Niemiec, wykonawca tych rozkazów, bo prócz wykonania rozkazów i poza nimi dopuszczali się na swoją rękę, każdy indywidualnie, poszczególnych zbrodni. Powyższe zeznanie złożyłem, świadom wszystkich faktów i okoliczności i gotów jestem, jeśli zajdzie tego potrzeba, potwierdzić moje zeznanie przysięgą.